

Kronika tygodniowa.

Kraków się bawi!

Ostatecznie nie można się temu i dziwić, gdyż karnawał przeznaczony jest na zabawę, a na „gorzkie żale” będzie dość czasu w poście, ale należałoby zachować pewną miarę, bo ostatecznie nie mamy powodu do takiej nadzwyczajnej wesołości. Trochę to dziwnie wygląda, jeśli się zwąży, że jedni nie mają co jeść, nie mają się w co odziać, ani przy czem zagrzać, drudzy zaś łamią sobie tylko nad tem głowę, jak najweselsiej i najprzyjemniej czas spędzić. A tych pierwszych jest, niestety, ogromna większość, a należy do niej proletaryat inteligentny, rekrutujący się z pomiędzy urzędników, profesorów, literatów, dziennikarzy, jednym słowem cała „goła demokracja” i to goła w najścisłszym tego słowa znaczeniu.

Gdyby styczeń miał sześćdziesiąt dni, a pierwsza połowa lutego drugie tyle, z pewnością na każdy dzień wypadłaby bodaj jedna zabawa.

Ci, którzy się bawią, mają przecież spokojne sumienie, bo czynią to nie dla własnej przyjemności, ale dla dobra ogółu, każda bowiem zabawa ma jakiś cel szlachetny. Nogi swe składają na odtarciu dobroczynności publicznej, niemi osierają iży nieszczęśliwym, przysparzają dochodów różnym instytucjom humanitarnym, więc chyba nie można im tego brać za złe. Każdy radby przyłożyć swą cegiełkę do odbudowy gmachu, który się nazywa naszą przyszłością, a czyni to w sposób, na jaki go stać.

Bawią się więc starzy i młodzi, tłuści chudzi, paskarze i uczciwi ludzie, a ta „piasawica” wystąpiła tak ogólnie i z takim nasileniem, że n. p. pewien młody handlowiec zbliża się stale do gości mazurkowym krokiem, inny zaś pyta:

— Czy mogę pana radcę zaangażować do polegwi wieprzowej, czy też do kiełbasy z kapustą?...

— A czy ładna? — pyta pen radca, mając naturalnie na myśli polegwię.

— Jak anioł, panie radco!... — odpowiada zagadnięty, mając znów przed oczyma swój ideał, z którym całą noc wywijał na zabawie, nie pomyślając na to, że obawie dziś takie drogie, a sprawienie sobie nowych zelówek, to ideał także, ale nie dla każdego łatwy do osiągnięcia. Urzędnik, dajmy na to, musi się dobrze nad tem zastanowić, nim sobie pozwoli na podobny wydatek. Ale też urzędnik się nie bawi. Bawią się ci, którym grosz łatwo przychodzi. Syją go też pełnieli garściami, wiedząc o tem, że jutro nastąpi dalszy ciąg, bo stosunki wywołane wojną, choć ona niby już się skończyła, nie tak prędko się zmieniają, a oni znajdują jeszcze niejedną sposobność do „uczciwego” zarobku kosztem innych.

A może w tym szale zabawy chcą zagłuszyć wyrzuty sumienia? I to nie jest wykluczone.

Kronikarz, rzecz oczywista, jako „goły demokrat” nie pracuje nogami dla dobra bliźnich, ale czyta co dzień zawiadomienia o różnych zabawach i doszedł do przekonania, że tak „roztańcowany” nie był Kraków nawet w najlepszych czasach, gdy się o wojnie nikomu nie śniło, choć znów z drugiej strony nie może zaprzeczyć, że jest to tylko następstwo wojny, a ta nadzwyczajna wesołość ma w sobie coś chorobliwego.

I szuka skrzętnie w *Kurierku* czy przypadkiem który z urozonych nie wynalazł przypadkiem pretka „tancznego” (*bacillus tancz*) i teraz dopiero zdaje sobie z tego sprawę, dlaczego w czasie karnawału młodzi ludzie obojga płci z taką lubością konsumują... różni cielec. Swojego czasu ogłoszono, że przez spożywanie odpowiednich organów zwierzęcych, można odświeżyć i wzmocnić swoje własne. A w czasie karnawału powinno się mieć... charakter w nogach.

Jeśli się porówna obecny karnawał z przedwojennymi, dochodzi się do przekonania, że się mają do siebie, jak lampa łukowa do zwykłej łójówki. Dawniej bawiono się może nawet i lepiej, ale nie tak głośno, to też starsze pokolenie, choć wtedy było także młode, miało zupełnie inne wymagania, niż to, które obecnie w świat wchodzi i rwie się do życia z jakąś chorobliwą gorączką, po niej zaś odczuwa, co najmniej, nie-smak, o ile nie przylączy się do tego inne komplikacje.

A należało się spodziewać, że właśnie ten karnawał będzie bardzo spokojny, bo jak sobie go wyobrazić bez pączków?... A tymczasem przekonujemy się, że się bez nich można zupełnie dobrze obejść, a nawet bawić znakomicie. Dzięki wojnie przekonaliśmy się, że tak nie jest i że wystarczą nam w karnawale do szczęścia nawet... śladzie. Miejsce „tanczących pączków”, o których starzy ludzie wspominają z taką lubością, zajmie obecnie „tanczący ślady”.

Bo tak jest, a nie inaczej! Pączków wypiekać nie wolno, a choćby nawet i pozwolono, to niema z czego, bo maki krak, a cukier wydają sklepy rejonowe w po-

łowie stycznia za listopad! Zato nadeszło w ostatnich czasach, jak doniósł komunikat Biura aprowizacyjnego, kilka wagonów śladzi, a dalsze transporty są w drodze, gdyż naszym dzielnym dyplomatom udało się uzyskać w Norwegii pożyczkę w kwocie dwadzieścia pięć milionów koron, którą wypłaca nam nie w gotówce, ale... śladziami.

Na czas wielkopostny jest to artykuł bardzo pożądany i kto wie, czy nie doczekamy się tej przyjemnej i bardzo pożądanej chwili, że nawet zwykły śmiertelnik będzie sobie mógł na podobny wydatek pozwolić. Jak zaś rzeczy stoją, to ślady może się pojawić tylko na wielkopostnym stole i zastąpić w zupełności łososia. Jak stwierdzają cenniki restauracyjne kosztuje ślady marynowany ośm koron, może więc być zupełnie słusznie uważany za ozdobę biesiadnego stołu i to ozdobę nieładną, na jaką sobie może pozwolić chyba paskarz.

Kteby tam zresztą śnił o podobnych specyaliach, dostępnych tylko dla wybranych!... Zwykły śmiertelnik jest kontent jeśli ma kawałek chleba, a i o to trudno, gdyż pewni agraryusze nie mogą się jakoś zdecydować na dostarczenie kontyngentu zbożowego, a pod tym względem zgadzają się i wielcy i mali. Wielcy bodaj obiecują, że to się stanie, małi natomiast są zdania, że skoro Polska jest chłopską, to skąd przychodzi chłop do tego, aby miał karmić miejskich „ciarachów” i to tak tanio! Caca jeść, niech płacą, to się znajdzie i zboże. A władze nie mogą należycie przycisnąć zwiastów matych, aby posłowie ludowi nie narobili gwałtu, że się ich wyoorcom dzieje krzywda.

I tak się pięknie złożyło, że, o ile żyjemy życiem przyspieszonym, gdyż każdy z nas jest zupełnie niepotrzebnie według letniego zegara starszy o całą godzinę, niż to być powinno, o tyle znów co się tyczy jedzenia jesteśmy w tyle i tak się już do tego przyzwyczailśmy, że nam to zupełnie nie robi różnicy. Komunikat magistracki, że począwszy od 10 stycznia będzie się wydawać chleb za ostatni tydzień grudnia, a cukier za drugą połowę listopada, nie dziwi nikogo i nie spotyka się bynajmniej z jakąś krytyką. Odezwi się wprawdzie ten lub ów, ale mu powiedzą: „Bądź kontent, żeś bodaj teraz dostał!” i śledzi cicho.

Jeśli jest teraz tak, to cóż będzie dopiero, gdy nadejdzie prawdziwy przednówek, to jest, gdy się zje stare, a nowego nie będzie jeszcze? Trzeba będzie ograniczyć się na żywieniu kartkami chlebowymi, cukrowymi itp. no i... obłotkami, a te są wprawdzie bardzo lekko strawne, ale zupełnie nie sycą!.. Już dziś czytamy, że ministerstwo radzi nad wprowadzeniem ograniczeń w spożywaniu mięsa, cukru i węgla, to jest, że to ostatnie wolno każdemu jeść, o ile je posiada i znajduje w nich smak, ale grać się przy nich nie śmie, chyba, gdyby... nie sobie nie robił z ministeryalnego rozporządzenia.

Będziemy więc mieć znów posty, podobnie jak za austriackich czasów, a będą one obowiązywać, tak jak tamte, tylko biedaków, bo paskarz araczy się dowoli. Restaurator dolicozy sobie „za strach”, ale spręda, na jadłospisie może zresztą figurować „kotlet z lina”, a że linów brak, więc z grzeczności zastąpi je chwilowo potulne ciele lub sympatyczne stworzenie bez rogów, otwierające ryjam fartkę.

Kto chce psa uderzyć, kij znajdzie — kto się chce najeść, a ma pieniądze, ten z pewnością nawet i w dzień urzędowego postu nie zginie z głodu. Od czegoż zresztą dyspenza, którą człowiek sam sobie daje?

Jak ten nasz polski urzędowy pest będzie wyglądał, tego nikt dotąd nie wie, ale, znając fachowość naszych władz centralnych, możemy być pewni, że to będzie jakiś dziwolak, bardzo pięknie się prezentujący na papierze, ale nie w praktyce, a nie jest wykluczonem, że może obowiązywać tylko Małopolską, bo skoro pan Nikodem Hryćkiewicz powiedział, że „Galicya jest bankratem materialnym i moralnym”, to też ona sama powinna cierpieć za swe grzechy. Jeśli się tu zaprowadzi post z urzędu, porobi się oszczędności, wobec czego Warszawa nie będzie się potrzebowała amartwiać.

Pan minister Grabski dał już dowód, że współczuje z nędzą tej części Polski, w jego ślady gotów pójść jego kolega od aprowizacji, a z pewnością nie znajdzie się nikt w gabinecie, kto chciałby się ująć za nami. Zasiada tam wprawdzie nasz krakowski poseł, ale ten ma usprawiedliwienie:

— Bardzo przepraszam!... To nie jest mój referat! Ja jestem od rolnictwa, nie od aprowizacji i w nie-swoje rzeczy się nie mieszam!...

Już to nasi ministrowie cierpią coś widocznie do koron.

Rok temu chciał pan minister Thugat zedrzeć polskiemu Orłowi koronę z głowy, teraz pan Grabski wyciąga nam korony z kieszeni i inspekują, że to tylko dla naszego dobra, bo korona, tak czy owak, nie warta!

Panu Thugatowi nie udało się eksperyment z ke-

roną, lepiej poszło koledze Grabskiemu, a pomogli mu do osiągnięcia sukcesu nawet niektórzy galicyjscy posłowie, nie chcący, czy nie mogący tego zrozumieć, że to przecież zamach na naszą kieszonkę, a otwarcie pola popisu dla spekulantów i to ze szkodą całego kraju. Rzucili się też do robienia interesów i powie-dzieli sobie, że przecież pan Grabski to „kapeś” i do-bry człowiek, bo o nich pamięta, a im wszystko jedno czy to korona czy marka, byle można było na niej robić interesy.

Narodowa demokracja poparła ministra Grabskiego jako „swojego człowieka” całą forszą, „goła demokracja” przyjęła ten zamach na kieszonkę ze spokojem i re-zygnacją, boć wszystko jedno, jaka będzie relacja marki do korony, jeśli się nie ma ani jednej ani drugiej.

W dniu 15 stycznia zjada w Sejmie warszawskim marka koronę. Narobiono z tego powodu hałasu, ale się wnet pokazało, że to była tylko burza w szklance wody. Grożono dymisją całego gabinetu, albo choćby tylko samego pana Grabskiego, tymczasem gabinet dotąd się nie rozleciał, a pan minister skarbu śmieje się z nas w kulak i powiada:

— A co? Nie postawiłem na swoim?...

Pokazuje się, jakie to ma zbawienne skutki, jeśli aptekarz jest członkiem gabinetu i to do tego w cha-rakterze prezesa!... Na wszystko znalazł środek za-radczy, niczem owa „jedynie niezawodna maść na po-rost włosów”, po której nyzeli wyrasta w tygodniu nowe owłosienie, nawet na staram wytartem futrze, o ile... je kto ma!

To nam dodaje otuchy, każe nam śmiało spoglą-dać w przeszłość i pozwala spać spokojnie. Paderewski, jako artysta, żył idealami, aptekarze znani są ze swej praktyczności, a chyba tamci z Kongresówki nie różnią się bardzo pod tym względem od swych galicyjskich kolegów.

Dziwię się tylko, że pan Skulski ograniczył się na samem przewodnictwem gabinetu, gdy z jaką taką, dajmy na to spraw wewnętrznych, byłoby mu zupełnie do twarzy. Wszak właśnie aptekarz zna się na nich najlepiej, reperując je różnymi olejami, proszkami, mikstu-rami i innymi środkami, o których sami mówią:

— Pomóż, może nie pomoż, ale nie zaszkodzi!

A nam właśnie takiego potrzeba było sterajka na-szej nawy państwowej i miejmy nadzieję, że nas szcze-śliwie doprowadzi do brzegu, jeśli mu się zaś nie uda, bo i to się czasem, choć rzadko, aptekarzowi zdarza, pójdzie „na dobrze zasłużony wypoczynek”, aby zrobić miejsce innemu.

Szkoda wielka, że w tym nowym gabinecie niema ministra zdrowia, byłby nim bowiem prawdopodobnie lekarz, jako najbardziej fachowy. Jest wprawdzie apte-karz, a i oni umieją radzić, ale co Eskulap, to Esku-lap!... Wobec niego i choroby różne mają respekt. Na to nie trzeba dowodu. W poprzednim zespole był dr. Janiszewski, mieliśmy też w kraju, oprócz innych mniej ważnych chorób, tyfus płamisty, hiszpankę i ja-ponkę, teraz, dowiedziawszy się, że pogromca ich po-szedł w stan rozporządzalności, robi na nas ofensywę od wschodu dżuma, a od zachodu czarna ospa.

Co do tej ostatniej, takowa się miała podobno po-jawić gdzieś w Cieszyńskiem, przypuszczam, że się ma tak, jak za dawnych, austriackich czasów z róż-nymi epidemiami w okresie przedwyborczym. O ile w okręgu zgłosił kandydaturę ktoś rządowi niemiełty, zaraz pojawiał się w okolicy jakiś tyfusik lub coś po-dobnego, co uniechętnie zgromadzenie przedwy-borcze.

Tak samo może być w Cieszyńskiem. Ta czarna ospa jest może zamówiona przez koalicję, aby Śląk oddać Czechom bez plebiscytu.

Na szerzenie się chorób zarazliwych wpływa bar-dzo dodatnio obecna aura. Zamiast dawnych styczni-owych mrozów mamy stosunkowo dość ciepło, choć węgłi brak i deszcz.

Tłumaczą to w ten sposób, że w niebie referentem od pogody został jakiś warszawski ministeryalny „fa-chowiec”.

Inni są zdania, że i ta zmiana temperatury jest dziełem koalicji, a uchwaloną została w Paryżu przez Rząd Najwyższy. Koalicja zabiera nam węgle, ale w zamiar za to puszcza nam zachodnie, ciepłe wiatry, abyśmy nie zmarli.

Nie należy się przecież martwić, jakiś bowiem podhalański meteorolog, który się podobno nie myli, tylko czasem, zapowiada mrozy na... czerwiec.

Niechaj więc żywi nie tracą nadziei, umarłym na nie ona się nie przyda. Z czasem stosunki ułożą się, ale wszystkiego i naraz żądać nie można.